

## **Medycyna rozrodu - pomna na sukcesy, nie bacząc na porażki**

Jak to możliwe, że nikt nie upomni się o setki milionów owego „something funny”, które przez mikroskopową soczewkę patrzyło i patrzy w oczy swoim twórcom?



**Jak to możliwe, że nikt nie upomni się o setki milionów owego „something funny”, które przez mikroskopową soczewkę patrzyło i patrzy w oczy swoim twórcom?**

Rozpoczęła się (nareszcie) parlamentarna dyskusja nad projektami ustaw regulującymi kwestie zapłodnienia pozaustrojowego. I to chyba jedyna optymistyczna dla mnie wiadomość. Nie można bowiem dłużej

pozwolić, aby w klinikach, gdzie człowiek powołuje do istnienia drugiego człowieka rządziło prawo Dzikiego Zachodu.

Nie można jednocześnie pozwolić, aby parlamentarna dyskusja opuściła teren twardych i trudnych do zaprzeczenia danych z dziedzin medycyny i embriologii (embrion to od samego początku człowiek) oraz etyki (niezbywalna godność każdego istnienia ludzkiego). Stanie się bowiem wtedy „prorokowaniem” i snuciem nierealnych (rzeczywistych, bo istniejących w umysłach je snujących, lecz oderwanych od prawdy, jaką jest realnie istniejący embrion) wizji, co niewątpliwie okaże się nie tylko szkodliwe, ale wręcz zgubne dla nas wszystkich.

Odnoszę bowiem wrażenie, że dyskusja tocząca się wokół problemu, przynajmniej tak jak się ją próbuje przedstawić w środkach masowego przekazu, ma coś z dobrego dziadka, który, z siwą brodą (mającą świadczyć o jego mądrości i bogactwie życiowego doświadczenia) i przed palącym się kominkiem, kiedy na zewnątrz szaleje śnieżna wichura, opowiada wnukom piękną bajkę. Bajkę o upragnionym dziecku, które jest największym szczęściem rodziców, zapominając przy tym, że tego dziecka nie można pojmować jako środka uszczęśliwiającego i że pewne drogi powoływania go do życia, są wysoce nieetyczne. Bajkę o in vitro jako metodzie terapeutycznej (dzisiaj słowo–klucz, którym chce się zamknąć wszelką wrażliwość etyczną), chyba że pojmimy terapię tak, jak ją pojmuje minister Balicki – walka nie z patologią, ale jej konsekwencjami. Wtedy in vitro da się pojąć jako terapia – niepłodność pozostanie, choć rodzice, przy ogromie szczęścia, będą trzymać dziecko w ramionach. Spróbujmy jeszcze, na zasadzie symetrii, leczyć tak i inne choroby. Zaczniemy od leczenia nowotworów, eliminując pacjenta. Bajkę o skuteczności

metody (która jest przerażająco niska), bajkę o miłości (ja widzę tu przejaw niepohamowanego egoizmu, który dąży do upragnionego dobra za wszelką cenę), bajkę o promocji życia (czemu nikt nie powie o setkach milionów najpierw świadomie powołanych do życia, a potem równie świadomie unicestwionych istnień ludzkich). Wiele cech bajkowości można by jeszcze wymieniać.

Pozwólcie jednak, że pójdę o krok dalej. Interesuje mnie bowiem odpowiedź na pytanie nie tylko o to, co w metodzie in vitro jest moralnie niegodne i co z etycznego punktu widzenia ją dyskwalifikuje, ale o wizję osoby i godności ludzkiej, jakie metoda koniecznie zakłada i promuje. Dlaczego godzimy się na in vitro, nawet w jej najmniej problematycznej (homologicznej) wersji? Niemniej pamiętajmy i o heterologicznym zapłodnieniu pozaustrojowym, parach homoseksualnych, które będą się jej domagać (reguła równi pochyłej i tu zadziała), bankach komórek rozrodczych, diagnozie i selekcji preimplantacyjnej, matkach zastępczych, embrionalnych komórkach macierzystych – do tego wszystkiego in vitro prowadzi. Trudno jest mi pojąć, dlaczego mówimy o nieszczęściu i spodziewanym szczęściu niepłodnej pary i o terapeutycznych zadaniach medycyny, dlaczego przeciwników metody oskarżamy o brak empatii i okrucieństwo – mówiąc: „mogą, a nie chcą pomóc”. I dlaczego nikt, a przynajmniej mało kto, nie upomina się o prawa najbardziej bezbronного bohatera całego tego zamieszania – embrionu. A ponieważ najbardziej bezbronного i słabego, tym głośniej powinniśmy się o jego prawa, przede wszystkim niezbywalnego prawa do życia, dopominać i ich bronić.

Chciałbym się mylić, odnoszę jednak wrażenie, że pozbawiliśmy embrion godności ludzkiej, zredukowaliśmy go do statusu rzeczy, uprzedmiotowiliśmy jego istnienie – w konsekwencji traktujemy go już nie jako cel, ale środek do zaspakajania celów.

Jak słusznie zauważa prof. Marian Machinek, in vitro to produkcja – wytwarzanie i przetwarzanie – mamy komórki rozrodcze, materiał biologiczny, odpowiednio wyposażone laboratorium i przygotowany personel medyczny, śledzimy proces produkcji, odseparowujemy produkty wadliwe od tych spełniających morfologiczne i genetyczne standardy. Pierwsze niszczymy, pracujemy tylko nad drugimi. Określamy skuteczność metody, prowadzimy i porównujemy statystyki, wymieniamy się doświadczeniami, ulepszamy proces.

Czy tak można powoływać do życia człowieka, który, jak powie św. Tomasz, „jest tym co najdoskonalsze w całej naturze”. I nawet gdyby metoda in vitro była absolutnie skuteczna i nie zakładała niszczenia embrionów ludzkich, to i tak pozostanie ona moralnie zła, bo zakłada uprzedmiotowienie i produkcję człowieka. A człowieka nie można produkować i nie godzi się powoływać go do istnienia podług standardów, które obowiązują przy produkcji rzeczy.

Dziś medycyna „wynała” dziecko i odkryła sekret jego produkcji. Ale i bezpłodna para „wynała” dziecko. W świecie pigułek tych „przed” i tych „po”, które łyka się jak witaminy, poczęcie naturalnie wpisane w akt cielesny, nie stanowi już konieczności i nie determinuje stylu życia i zachowań. W końcu nie ma się czym przejmować – jest przecież medycyna, jest zapłodnienie pozaustrojowe, oni dadzą nam dziecko.

Owszem nie ma nic bardziej pięknego i radosnego niż narodziny dziecka. Wydarzenie tym szczęśliwsze i cudowniejsze, bo stało się „darem” medycyny - nauki, która już nie tylko ratuje ludzi, ale także „powołuje do życia”. Cztery miliony dzieci poczętych in vitro opiewanych jest jako cud medycyny, bo przecież najważniejszą rzeczą na świecie, twierdzi prof. Edwards, jest posiadanie dziecka (swoją drogą tu Edwards wydaje się być pierwszym przeciwnikiem aborcji). Mniej radosne i o wiele bardziej groteskowe, a nawet tragiczne, wydaje się inne jego stwierdzenie: „nigdy nie zapomnę dnia, kiedy obserwując pod mikroskopem, zauważyłem na płytce „something funny”, embrion w stadium blastocysty, który się mi przyglądał. Pomyślałem – nareszcie nam się udało.

Cztery miliony „wyprodukowanych” – z tego się tylko należy cieszyć, pod warunkiem, że jest się tą jedną z nielicznych matek, której się udało, i tym jednym z setek dzieckiem, które będzie miało szczęście „cieszyć się życiem”. Jak to możliwe, że nikt nie upomni się o setki milionów owego „something funny”, które poprzez mikroskopową soczewkę patrzyło i patrzy w oczy swoim twórcom. Myślę oczywiście o tych, którym się nie udało: o tym „zabawnym czymś” zamrażanym w ciekłym azocie, używanym w doświadczeniach, jako materiał biologiczny, unicestwianym, bo nie rokujących nadziei, o tym „czymś”, które najpierw zakwalifikowano jako „nadające się do życia”, później jednak poddano aborcji.

W imię sprawiedliwości, zachłystując się sukcesem owych czterech milionów „wyprodukowanych” w celu zaspokojenia pragnień rodziców, trzeba koniecznie wspomnieć o setkach milionów „zabawnych istot”, którym się nie udało. Które w imię wolności reprodukcyjnej i

medycznej terapeutyczności, przy niemym przyzwoleniu moralnie głuchej wspólnoty międzynarodowej, zostały najpierw świadomie wyprodukowane, a potem świadomie unicestwione, chociaż od ponad sześćdziesięciu już lat w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka czytamy o równości ludzi pod względem swej godności, swych praw i powinności postępowania, wobec wszystkich w duchu braterstwa.

Nie sposób nie zauważyć moralnych wątpliwości, jakie wzbudza metoda *in vitro*. Ale fundamentalnym zastrzeżeniem etycznym jest przyzwolenie na traktowanie ludzkiej prokreacji wyłącznie jako procesu laboratoryjnego. Zanim zapytamy, czy uszczęśliwiać rodziców, umożliwiając im posiadanie dziecka, nie można nie zastanowić się, nad przebiegiem procesu tego uszczęśliwiania. Rodzic, jak najbardziej, powinien być szczęśliwy, posiadając dziecko, nie ma on jednak prawa do dziecka i do posiadania go za wszelką cenę. Dziecko natomiast ma prawo i musi być zawsze poczęte w sposób promujący jego ludzką godność, nigdy tej godności uwłaczający czy wręcz tę godność redukujący. A co – i to jest moje prywatne zdanie - w przypadku *in vitro* ma miejsce. Metoda ta produkuje człowieka, protokółuje jego rozwój i decyduje o dalszym losie. Trudno się w takiej metodzie dopatrzeć choćby znikomych śladów szacunku dla istoty ludzkiej w pierwszej fazie jej rozwoju. Szacunku tego nie nadadzą metodzie cele, nawet najszczytniejsze, dla których jest ona podejmowana – szczęście rodziców, czy nawet miłość, jaką oni w przyszłości dziecko otoczą. Nie podając w wątpliwość słuszności tych ostatnich, pytam, czy godzi się osiągać owe cele za wszelką cenę i wszelkimi dostępnymi sposobami? Czy szczytny cel usprawiedliwia i czyni etycznie godnym to, co samo w sobie nosi poważne znamiona moralnej niegodziwości – a mianowicie uprzedmiotowienie istnienia ludzkiego. Powtórzmy to raz jeszcze -

metoda zapłodnienia pozaustrojowego nie jest jakkolwiek procedurą laboratoryjną, którą można, bez żadnych etycznych skrupułów, rozpocząć i poddać wymogom projektu badawczego.

Ustawodawca tej wsobnej niegodziwości metody zapłodnienia pozaustrojowego nie może pominąć. Proces legislacyjny powinien przebiegać tak, aby jego efektem było prawo najpełniej respektujące ludzką godność człowieka. A ponieważ, jak starałem się dowieść, o niegodziwości moralnej metody *in vitro* nie decyduje tylko fakt uśmiercania, czy zamrażania wyprodukowanych embrionów ludzkich, ale przede wszystkim idea uprzedmiotawiania i produkcji człowieka, która leży u źródła jej założeń, sądzę, że zakaz jej przeprowadzania jest rozwiązaniem najbardziej pożądanym i właściwym z etycznego punktu widzenia.

Opowiadajmy bajkę o cudownej *in vitro* i złych, i okrutnych potworach, które czyhają na jej życie. Opowiadającym tę bajkę przypomnijmy jednak wypowiedź prof. Edwardsa: „something funny in the cultures (... ) what I saw was a human blastocyst gazing up on me”. To już nie embrion, to już nie człowiek w pierwszych fazach swojego rozwoju, to już nie owoc poczęcia, to już nie upragnione dziecko – oczekiwany dar, to już tylko „something funny”. Pytacie jeszcze, dlaczego to wszystko jest możliwe? Obdarliśmy z szat ludzkiej godności owoc poczęcia, to już nie podmiotowość prawna i moralna, suwerenność bytowa, to już tylko „coś”. Naukowcy i etycy „wyzwoleni” zabierajcie się do roboty - „zabawna istota się wam przygląda”.

*Tomasz Orłowski*

